

ROMANŚ I POWIEŚĆ

Rok XIX

Warszawa, dnia 23 Lipca 1927 roku

Nr. 30

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

28)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

— Usuwając Grzegorza Effimicza — ciągnął Jussupow — zgładzamy nietylko zdrajcę ojczyzny i cara, lecz przede wszystkim wysłańca złego ducha, siłę nieczystą. Jego oddech plami rosyjską ziemię. Jego skrzydła zasnuwają chmurami rosyjskie niebo. To istota nadprzyrodzona. Wiem to. Wielką jest nasza walka. Duch dobrego zмага się z duchem złego. Ludzie, jak Grigori Effimicz, pojawiają się raz na dwieście, trzysta lat. I za każdym razem rozkiełzują straszne moce. To są wtajemniczeni, to są szatańskie wcielenia. Tępiąc ich, odgradzamy się od piekła. Bóg chce. Bóg natchnął mnie i kieruje mną. Mam za sobą siłę, wszechmogącą i opiekuńczą rękę; idę drogą prostą, wykreśloną tam, w górze.

Przybyli na Kamienny Ostrów. Zapadał mrok. Ramiona zamarzniętej rzeki kreśliły połyskliwą drogę, ku ognistemu niebu rozpiętemu w dali, nad zatoką Finlandji. Pałace i wille cesarskie obramowywały szlachetnie drogę. Cała szczęśliwa przeszłość powstawała z tych wysp otoczonych parkami i stawami.

Dolin przypomniał sobie spacery pełne zimowych, czerwonych zachodów słońca, lub zielonkawych białych nocy. Wtedy słowiki, kwitnące bzy, gwałtowność wiosny, nie pozwalała miastu spać. Towarzyszyły mu kobiety, które być może kochał, a które oświecenie i pora czyniły cennymi. To otoczenie zdawało się być stworzonym dla księcia, który posiadał przyrodzony romantyzm, a jednocześnie ulegał prawom ludzkiej natury.

Jussupow zaczął na nowo mówić, lecz tym razem bez mistycyzmu. Dolin rozpoznał w jego głosie ową specjalną dokładność, planowość i radość organizowania, która go tak zdziwiła od pierwszej chwili przygotowań do morderstwa. Mimowoli spojrzął na rękę księcia.

— Zatrzymaj się, mój drogi — rzekł Jussupow. — Zdaje mi się, że miejsce jest odpowiednie.

Wysiadł, obejrzał brzeg, szukając skazy w lodowej powłoce.

— Nie — powiedział — tu nie. Zresztą to miejsca uczęszczane o każdej porze dnia i nocy. Jedźmy do Krestowskiego Ostrowu.

Samochód ruszył. Znaleźli się niebawem na wysepce, pozbawionej wszelkiego uroku. Drugorzędne restauracje i drewniane baraki rozciągały się na błotnistej płaszczynie, pośród nędznego lasu. Książę rozglądał się bacznie. Samochód ledwo się posuwał.

— Stój! — zawołał Jussupow.

Było to miejsce najzupełniej opustoszałe. Ani znaku życia na zaśnieżonych polach. Zamarznięta

rzeka, drzewa pokryte błyszczącym szronem; Jussupow i Dolin jechali brzegiem wody, nie odzywając się słowem. Wychylali się ciągle. Wreszcie, zatrzymali się przy moście. Lód był tam przełamany, z głębokiej przepaści wyglądała głęboka i brunatna woda. Długo spoglądali w tę szczelinę.

— Nie wypłynie — szepnął Dolin — gdy mu się przywiąże łańcuchy.

Książę odparł marzycielskim głosem:

— Miejsce w sam raz na ciało.

II

A P O K A L I P S A

Jussupow zatrzymał się na Grochowej, pod sześćdziesiątym czwartym i poszedł, jak zwykle, kuchennymi schodami. Nie chciał, ażeby go widziano, jak wchodzi do Rasputina, bowiem jego krewni i przyjaciele, którzy nienawidzili Rasputina nieprzebraną nienawiścią, dziwiliby się, że książę Feliks odwiedza go.

Należało unikać zapytań. Powodzenie przedsięwzięcia zależało od milczenia.

Książę wchodził po stromych schodach, spokojnym krokiem. Stan łaski, w jakim się znajdował, chronił go przed wszystkim: ciało nie znało zmęczenia, dusza — porażki.

Zastukał powoli do drzwi wychodzących na tyły mieszkania. Katia, ulubiona sekretarka Rasputina, otworzyła mu drzwi.

— Ojciec — rzekła — jest w swoim gabinecie. Czeka na pana.

— Jego pomoc jest mi bardzo potrzebna.

Krokiem, udającym znużenie, Jussupow skierował się do gabinetu Rasputina. Zastał go stojącego i zamyślnego. Starec nosił nową bluzę. Pod masą świecących włosów twarz była spokojna i radosna. Lecz w chwili gdy dostrzegł księcia, oczy jego, siłą przyzwyczajenia, zaatakowały brutalnie oczy Jussupowa i jak zwykle, musiał książę naprężyć swój wzrok, ażeby się nie poddać ich wpływowi. Nie sprawiło mu to żadnych trudności, bo znając wiedzę tajemniczą, umocniony duchowem skupieniem i modlitwą, nie bał się nagłych szturmów, którym uległo już tylu. Lecz żeby nie zdradzić swojej siły przed tym, który powinien był uważać go za zdanego na swoją łaskę, Jussupow spuścił wzrok i czekał z pochyloną głową, opuszczonymi rękami.

— Lubię patrzeć na ciebie, mój mały! — zawołał Rasputin.

Słowa pozdrowienia drżały serdeczną czułością. Nigdy Rasputin nie czuł tyle przyjaźni, dla żadnego człowieka, ile dla tego młodego, tak wyniosłego, tak pięknego i tak poważnego człowieka. Wrodzona podejrzliwość, chroniąca go pewniej niż policjanci przydzieleni do jego osoby, nikła na widok księcia. Wiedział, że należy do wrogiej rodziny, wolnej od wszelkiego wyrachowania. A jednak, lubił go.

I znowu Jussupow był pełen zachwytu, iż nieczwysty sam wybrał swojego sędziego. Ale się nie dziwił: Opatrzność tak zrządziła.

— Siadaj, mój mały, usiądź tu, — rzekł Rasputin. — Błady jesteś. Potrzebny ci wypoczynek.

— Grigori Effimicz, mam dużo do roboty. Kursy oficerskie są ciężkie dla chorego.

— Ty także przyspasabiasz się do krwi, lecz krew będzie miała swój kres. Wszystkie obawy są niczem w czasach czystości. Wola człowieka jest modlitwą Boga.

Wtajemniczony w te pogmatwane słowa Jussupow przetłumaczył: „Chce położyć kres wojnie”. Lecz obawiając się, że będzie natychmiast zrozumiany, dzięki przenikliwości Rasputina, która była szczególnie, zabronił sobie wszelkich myśli i uczynił ze swej duszy zamkniętą księgę.

Nagle, twarz Rasputina straciła swój spokój. Wielkie nozdrza zadrżały.

— Przynosisz mi nowiny od tej małej hrabiny? — zapytał.

— Tak, dzisiaj je otrzymałem, Grigori Effimicz.

— Kiedy będzie u ciebie?

— Szesnastego.

Rasputin przeliczył szybko na swoich żyłastych palcach.

— Jeszcze dziesięć dni — mruknął. — To za długo. Mówiłeś mi, że będzie wcześniej.

— Tak mi się zdawało, lecz odłożyła wyjazd z Krymu.

Ani w głosie, ani w niedbałym zachowaniu księcia nie można było dostrzec jego obaw. Rasputin zgodzi się na zwłokę? Czy zgodzi się czekać na tę młodą kobietę, której wspomnienie rozgorączkowało go? W pracowni ustanowionym planie zasadzki była przynęta. Ale czy jego pragnienie było dość wielkie, by dotrwało do oznaczonej daty? Czy doprowadzi go na miejsce kary, jaka miała go spotkać szesnastego grudnia w pałacu Jussupowych?

Książę nie podnosił oczu, bo bał się, że Rasputin przeczyta w nich lęk. Starec, który nie starał się nigdy ukrywać złego humoru, chodził wzdłuż i wszerz pokoju, mrużąc przekleństwa. Ale jego nieufność, zwykle tak czuła i wrażliwa, nie odgrywała tym razem żadnej roli. Panował nad nim niezrozumiały urok. Zazwyczaj kaprysy swoje zadawał natychmiast i źle przyjmował wszelkie przeciwności.

Jussupow z zamkniętymi powiekami i umysłem sztucznie opróżnionym powtarzał w duchu:

— Przyjdzie.

— No, dobrze. Niech będzie szesnastego. Kiedy przybędziesz po mnie?

Książę, nie spiesząc się, odpowiedział:

— Grigori Effimicz, przyjadę około pierwszej po północy. Tego wieczoru odbędzie się u mnie wielkie przyjęcie. Lepiej będzie poczekać, aż rozejdą się goście. Zaprowadzę was do mojej piwniczki. Hrabina przyjdzie tam, ażeby się spotkać z wami.

— Na Chrystusa! Nie mów mi o tej chwili! Jeszcze dziesięć dni!

W Rasputinie zagrały zmysły. Było niemi prześląknięte ciało i skóra tego potężnego chłopca. Cmoknąwszy językiem, zawołał:

— Piękna kobieta z tej hrabiny.

Niedbałym i delikatnym głosem Jussupow odpowiedział:

— Rzeczywiście, urocza kobieta.

— Lubię, jak mówisz, mój mały — rzekł Rasputin z rozczuleniem. Twoje słowa idą w głąb duszy.

— Grigori Effimicz, będziecie napewno wolni w dniu szesnastego grudnia?

U kogo innego wydawałoby się Rasputinowi takie naleganie podejrzanem, lecz gdy był tu książę, przeznaczenie kładło opaskę na przewidujące oczy. Słowa sędziego wydały się Rasputinowi wyrazem troskliwości i podziękowawszy kiwnięciem głowy, odparł:

— Nic nie zdoła mnie zatrzymać. Tak się urządzę, ażeby nie wzywano mnie do Carskiego Sioła.

Ożywił się niespodzianie, jak zwykle wtedy, gdy miał sposobność popisywać się swoją zażyłością z panującymi.

— Wiesz, przybywam ztamtąd — krzyknął — Widzisz, jak jestem ładnie i czysto ubrany. Mama wzywa mnie nieustannie. Pomyśl tylko: nie widziała mnie przez tyle dni! Nawet przy swoim mężusiu nie zapomina o mnie.

Zmrużył plamiste powieki i ciągnął:

— Ja również nie zapominam o niej. Codziennie wysyłam depesze do niej, lub też do Ani. Daję jej rady, które duch zsyła na mnie. Nie trzeba dopuścić, ażeby dobro upadło. Miłość dusz idzie na skrzydłach. Więc teraz wzywają mnie ciągle. Ona mi opowiada, co postanowili uczynić razem z papą. Trzeba robić wszystko razem, ona, papa i ja. Rada świętych, kamień, toczący się bez hałasu, wał dla demonów...

Jussupow słuchał, nie odpowiadając. Każde słowo Rasputina było pełne niebezpieczeństw dla cesarza i Rosji. Ale nie należało pokazywać po sobie, nie należało nawet odczuwać, gdyż inaczej zginęłoby ślepe zaufanie, jakim darzył księcia niszczycielski czarownik. Rasputin w dalszym ciągu zwierzał się z niewytłomaczoną szczerością:

— Z jednej strony, nie lubię, gdy mama wyjeżdża. Gdy jestem daleko, Bóg się nią mniej opiekuje. A jednak trzeba, żeby pojechała w odwiedzin do papy. Znajduje się w złym środowisku. Sami książęta, generałowie, którzy mu mówią: „Grigori ci szkodzi”. Kłamcy i głusi, oto oni w dwóch słowach. Papa istnieje tylko dzięki moim modłom. Mama wie to dobrze i tłumaczy mu zbawienne słowa. Robi zawsze to, co ona chce. To dobry mężulek, ha, ha!

Śmiech ten był obelgą dla wszystkiego, co kochał Jussupow. Lecz nie poruszył się. Twarz jego pozostawała wdzięczną zagadką. A jednak nie mógł utrzymać na wodzy zbyt wartkich myśli. Jakże był naiwny podczas poprzednich wizyt, gdy pragnąc uniknąć straszego końca, starał się przekonać Rasputina, jak bardzo kompromituje cara. Wobec ordynarnej pychy i obrzydliwych żartów, rozumiał lepiej, niż kiedykolwiek, bezskuteczność wysiłku, którym starał się przemówić do szlachetności duszy. A jednak przemógł się po raz ostatni, lecz nie wierzył już, że powstrzyma bieg losu.

(D. c. n.)

2)

D W O R E K

N O W E L A

Więc Angela wzięła bukiet, a on zaczął się jeszcze pociesniej wykrzywiać, prztykać w palce i mrużyć.

Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, sprawiający na pierwszy rzut oka wrażenie młodzieńszka, choć w rzeczywistości miał czterdzieści lat. Odzież jego była zbieraniną dawanych mu przygodnie rzeczy: Miał więc na sobie marynarkę wiejską, niebieską, dżentelmeńską koszulę, spodnie rzemieślnika i jakieś wyprzedajowe buty. Z pod koszuli bez kołnierzyka i krawata, szeroko rozchełstanej na przodzie, ukazywała się włochata pierś; twarz natomiast była prawie zupełnie pozbawioną zarostu. Szła od niego jakaś zwierzęca woń, co zauważyły wszystkie trzy dziewczęta i rozmawiały o nim później, jak o cuchnącym, nigdy nie mytym psie. Angela zaś spostrzegła w dodatku, że patrzył na nią bystro i cofnęła się instynktownie z uczuciem nieprzewyciężonej odrazy. Ale wnet zawstydzony się tego odruchu, przemówił do niego życzliwie, poczem wszystkie przeszukały swoje portmonetki i dały mu kilka pensów.

— Oo — oo! — zamruczał, miętosząc pieniądze w dłoniach z lubością — Oo — oo!

Twarze dziewcząt dziwnie złagodniały pod wpływem litości, z jaką patrzyły na niego, myśląc może każda na swój sposób o niepojętych okrucieństwach losu. Było w tem coś nawskroś tragicznego, ten dorosły, fizycznie rozwinięty mężczyzna szepleniący, jak dziecko; „kwiatecki” i „oo-oo”, ta ludzka istota, tak niby podobna do swego gatunku, a przecież tak odmienna; ten skazaniec, napozór wolny, a przecież nieubłagany zamknięty w więzieniu, z którego mętnie i bez uświadomienia spoglądał na piękno szerokiego świata. Popatrzył znowu na Angelę, ona zaś poszła dalej z przyjaciółkami.

Od tego czasu zatrzymywały się zawsze, by powiedzieć parę dobrotliwych słów biednemu idjocie, dopóki doktor nie odradził im tego.

Ten doktor, młody jeszcze człowiek, wysiadł raz z bryczuszki, którą objeżdżał chorych i przystąpił do nich.

— Przepraszam, ale widzę, że pani nie tutejsza — rzekł zwracając się do Angeli, jakgdyby tamtych dwóch wcale nie było. I bez cienia litości i współczucia w głosie, zaczął ją prosić, by się nie troszczyła o „tego natręta”.

— Fałszywy sentymentalizm toleruje go tutaj — mówił. — Należało by go zamknąć i nie pozwolić, by naprzykrzał się ludziom.

— Zamknąć?

— Tak, w odpowiednim zakładzie. A w każdym razie nie należy zachęcać go. Wszystkim to już mówiłem. Pani tu obca, więc powtarzam. Jest tu nawet niedaleko taki przytułek pod ścisłą kontrolą. Nauczono by go tam niejednego. Naprzykład wyplatania koszyków. To jest wskazane. I dla innych przyczyn.

Doktor umilkł i nic więcej nie dodał.

— Tak. Rozumiem. Dziękuję — rzekła Angela pośpiesznie.

— Nie ma mi pani za złe, żem się do pani zwrócił?

— O! Bynajmniej.

Jednakże nie podobało jej się to.

— Jakiś poufały facet — rzekła Dora Brown, gdy doktor wrócił do swojej bryczuszki.

Po tej rozmowie, trzymały się jednak wszystkie zdaleka od idjoty, mówiąc mu tylko dzień dobry, albo poprzestając na poważnym kiwnięciu głowy. Ale Angela, ilekroć pomyślała o tem, czerwieniła się. Dlaczego? Czy czuła się dotkniętą w swej godności osobistej strofującym zachowaniem się młodego doktora? Nie; to było coś znacznie głębszego i subtelniejszego. To tkwiło nie w tem, co doktor powiedział, ale w tem, czego nie powiedział, w tem raptownym zamilknięciu po słowach: „I dla innych przyczyn...” A słowa te w szczególny sposób kojarzyły się w jej pamięci z temi błędnymi oczami, utkwionymi w jej twarzy, w których na chwilę błysnął jakiś ludzki wyraz, jeszcze bardziej odpychający, niż stale w nich przebywający idjotyzm. Jakież to było wstrętne!

W tydzień potem Księżycowy Dick znalazł drogę do dworku.. Dora zobaczyła go z okna, jak siedział w sosnowym lasku i widziała, że pozostał tam przeszło godzinę. Nazajutrz zjawił się przed furtką, żałośnie ofiarowując jeden ze swoich bukietów.

Angela, surowa i stanowcza, wyszła do niego i, nie przyjmując daru, rozkazała mu, żeby sobie szedł precz.

— Nie. Wynos się stąd. Słyszysz? Nie potrzebny tu jesteś. Ruszaj!

Mówiła głośno i nieubłaganie. Różowość jej zniknęła, była blada z gniewu, a przyjaciółki podziwiała jej stanowczość.

— Ruszaj stąd! — i tupnęła nogą.

Księżycowy Dick usłuchał jak wystraszony. Odszedł prędko, tuląc wzgardzoną wiązaną do obnażonej piersi i mrużąc coś do siebie.

W parę dni potem dziewczęta wyszedłszy na przechadzkę spotkały doktora, on zaś przystanął i powiedział, im że idjota nie będzie ich już napastował. On i wikary umieścili go w tym przytułku o sześć mil stąd, po tamtej stronie Buckland Down.

— Nie żałuj go pani — rzekł doktor do Angeli. — To najlepsza rzecz, jaka mu się zdarzyć mogła.

Wszystkie te szczegóły, dotyczące idjoty, mogą się wydawać nieproporcjonalnie ważne w opowiadaniu. Wśród licznych epizodów, wydarzeń i przygód wakacyjnego życia były drobnostką, poprostu niczem. Skoro zniknął, wnet o nim zapomniano.

Tygodnie mijały, a wakacje nie kończyły się jakoś. Panna Brown i panna Parker odjechały; dwie panny Carricks przybyły na ich miejsce i także odjechały, minęła już połowa wspaniale pogodnego i ciepłego września, i pani Gibson miała wreszcie przyjechać — przyjechać nazajutrz. Dziś Angela miała dworek wyłącznie dla siebie. Lubiła taką jednodniową przerwę pomiędzy jedną a drugą zmianą towarzystwa, a można dodać, że w takich przerwach

pozwalala swemu wielbicielowi panu Jackowi Harland, by jej skladal uszanowanie.

Byl tu i dzisiaj i lezal na trawie pod jablonia, podczas gdy Angela przyrzadzala poludniowy posiłek i gawedzila z nim przez okno w kuchni. Ale nie pozwalala mu próżniaczyć się ciągle. Naczerpal jej wody ze studni i narabiał drzewa pokaźny stosik, a uwijał się tak gorliwie, że omal nie złamał siekiery. Teraz kazala mu pościagać z płota suszące się na nim ścierki i przynieść je do kuchni.

— O, rety! — jęknął żartobliwie — To się wysługujesz człowiekiem!

— Właśnie. „Człowiek“ nie czekałby na rozkazy, gdyby miał trochę galanterji lub zdrowego rozsądku.

— Chcesz zrobić ze mnie popychadło — mówił, udając zagniewanego.—Zbuntuję się chyba i już.

— Jak ci się podoba, mój chłopcze. Nie umrę z rozpacz, bądź pewny.

— To znaczy, że jest wielu takich, którzy mnie zastapia.

— Nie, Jacku — odrzekła z nagłą powagą. — Niema nikogo innego. I, przyznam ci się, że — i umilkła raptem.

Szczęśliwe to były chwile. Było tyle swobody i szczerości w obcowaniu z kimś, kto był dla niej jak bratem, i kto, jak się zdawało, miał wkrótce przedzierzgnąć się w męża. Po herbacie, jaką wypili w lasku i po „przetrażeniu“ czegoś na kolację w kuchni, Angela odprowadziła Jacka na stację wśród zapadającego zmroku, by zdążył na ostatni pociąg.

Gdy ujrzeni migocące światła na stacji, pożegnała się z Jackiem, ale on niespodziewanie zaczął prosić, by mu pozwoliła zostać:

— Angy, kochanie, tak mi jakoś niesporo zostawiać cię samą. Szczerze ci mówię, że się obawiam.

— Co za niedorzeczność. Co ci znów strzeliło do głowy?

— Pozwól mi zostać na noc.

— Właśnie. Nic prawdopodobniejszego! — odrzekła żartobliwie.

— Prześpię się w ogródku, jeżeli chcesz, i pojedę pierwszym, rannym pociągiem. Czemu by nie?

— Niebądź niemądry.

— Nie jestem niemądry.

— Owszem, jesteś. Albo, co gorzej, jesteś przewrotnym zuchwalcem — i zaśmiała się. — Co by na to Tudor Green powiedziało?... No, dalej, zmiataj, pókim dobra.

Wracając do dworku, myślała o Jacku bardzo serdecznie, ujęta jego troskliwością. Bardzo to pocziwie z jego strony, że się tak o nią zatroskał... A co jej drzewa narabiał! — uśmiechnęła się z wdzięcznością.

I zaraz przyszły jej na myśl te śmieszne zastrzeżenia, które dotąd istnieją niewiadomo poco i naco, chyba tylko, żeby utrudnić życie. Co to za głupstwo, na przykład, żeby nie módz pozwolić Jackowi pozostać. Ublizający podkład tych zastrzeżeń oburzył ją. Jak gdyby w obecnym stanie cywilizacji, nie można było zostawić młodego mężczyznę i młodą dziewczynę bez stróżowania, zwłaszcza, że dziewczęta doskonale potrafią dawać sobie radę same: bronić się w razie potrzeby! No, żeby Jack w jakichkolwiek okolicznościach mógł się zapomnieć! Ale, gdyby — gdyby on lub ktokolwiek inny to uczynił, pokazałaby mu prędko, gdzie pieprz rośnie.

Przy furtce ogrodowej stanęła, otoczona dokoła

tą ciszą, która w początkach tak ją dziwiła, jak coś nadprzyrodzonego, a teraz wydawała się tak naturalną, czekając, dopóki nie usłyszała, że pociąg Jacka odchodzi. Zrazu każde sapnięcie lokomotywy następowało z pewną przerwą go poprzedzającym, potem wszystkie zwały się z sobą, były coraz słabsze, słabsze, aż umilkły zupełnie. Jack odjechał, a jej wydało się, że częśćka jej serca podążyła za nim.

Drzwi dworku stały otworem, jak je zostawiła, lecz Angela, zanim weszła do środka, stała jeszcze czas jakiś, patrząc na ciemny, sosnowy las i po raz pierwszy uczuła, że noc ma w sobie coś przytłaczającego. Powietrze było równie ciepłe, jak przed paru godzinami, ale był w niem jakiś tajemniczy smutek, kładący się na ziemię w piękne wieczory kończące się lata. I Angela, stojąc, pomyślała nagle o swojej samotności, po raz pierwszy zaniepokojona nią w jakiś nieokreślony sposób, jak gdyby umysł jej, po długim dniu spędzonym z wiernym, kochającym Jackiem nie szarmonizował się z tą pustką, którą się dotychczas tak rozkoszowała. Dreszcz ją przejął. Weszła do dworku, zamknęła drzwi i starannie zaryglowała je od wewnątrz.

Upewniła się, że tylne drzwi były także zaryglowane i pomimo że było ciepło, zamknęła także oba okna i zapuściła firanki. To skuteczniejszy, doznała zupełnie nowego i przyjemnego uczucia bezpieczeństwa. Nigdy dotąd ani na chwilę nie przyszło jej do głowy, że mogła by nie czuć się tu bezpieczną, czy to w dzień, czy w nocy.

— Zdaje mi się — pomyślała — że to Jack tak mnie swą gadaniną usposobił. Także pomysł! Chcieć zostawać na noc, jakgdyby mi się tu co stać mogło!

I oprócz świecy zapaliła dużą lampę, z okrągłym kloszem bez ciemnika i szklannym rezerwoarem na olej. Lampa ta wznosiła się jak latarnia morska na gołym, drewnianym morzu kuchennego stołu i zalewała całe wnętrze swem jasnym, błyszczącym światłem, nadając wszystkim sprzętom wesoły wygląd.

Następnie Angela posłała sobie swe polowe łóżko i rozebrała się zwolna, rozmyślając o różnych rzeczach, uśmiechając się do własnych myśli. I nagle, włożywszy nocną koszulę, stanęła nieruchomo, pogrążona w głębokiej zadumie. Przypomniał jej się Jack i fala tkliwości opłynęła jej serce. Zrozumiała, że nigdy dotąd w dziesiątej części nie kochała go tak jak dzisiaj i wnet zaczęła zastanawiać się, jak dziewczęta jej typu i temperamentu muszą się często zastanawiać nad wielkim, głównym faktem małżeństwa, o tem zdumiewającym zespoleniu się dwóch istot, które jest zarówno fizycznym jak duchowym połączeniem. W najlepszym razie wydało jej się to śmiesznym i jednostronnym układem, domagającym się bezwarunkowego podporządkowania się kobiety woli i pożądaniu mężczyzny. Zmarszczyła brwi i wzdrygnęła się, odczuwając po tysięczny raz głęboką, żywiołową odrazę; poczem pomyślała z zakłopotanym uśmiechem:

— Trzeba się djabelnie kochać, żeby to tak wziąć na wesoło i nie sprzeciwiać się.

Wtem, coś ją przestraszyło i ze świecą w ręku wyszła prędko do sieni. Wyraźnie, niewątpliwie usłyszała jakieś szmery albo zewnątrz albo wewnątrz dworku. Wsłuchawszy się teraz uważnie poznała, że dźwięki te pochodzą z piętarka, z paradnej sy-pialni i aż się cała zatrzęsła.

Nastąpiła chwila milczenia; a ona stała drząc od stóp do głów, a potem odgłosy ponowiły się, ludzkie głosy: jakieś wykrzykniki czy chrząkania.

Nie; nie ludzkie!

(Dok. nast.).